

Na okoliczność nowohuckiej premiery „Tanga”, Sławomir Mrożek – pisarz oraz Krzysztof Orzechowski – reżyser teatralny, postawili epistolograficzną tezę dotyczącą nieistnienia w ich artystycznych duszach nazbyt okazałych, że tak powiem, złóż ambicji artystycznych. Następnie Krzysztof Orzechowski – za przyzwoleniem Sławomira Mrożka rzecz jasna – już na scenie, czyli w praktyce, przeprowadził jasny dowód powyższej tezy, co jest – ukryć się nie da – fundamentalnym gwoździem do estetycznej trumny. Jeśli ktoś mi nie ufa, niechaj uda się do Teatru Ludowego, obejrzy spektakl i uważnie przeczyta pomieszczone w programie listy obu mało ambitnych. Wtedy mi zaufa.

By chwycić tego szalenie przykrego byka braku ambicji za rogi, powiem, że Mrożek wraz z Orzechowskim, niczym ów nieszczęsny Bańbuła z „Wesela w Atomicach”, postanowili zachować przyzwoitość i konwencjonalnie rznieć nożem. Mój Boże... W tak piękny, bardzo ludzki czas naszego teatru rodzimego, kiedy to na nadwiślańskim froncie od lat cudownie rozkwita bitwa na wszelkiej maści sceniczne bomby jądrowe, kiedy w Świątyniach Melpomeny inscenizacyjne oślnienia sięgają Jowisza, myślowe dna Rowu Mariańskiego, zaś egzystencjalne z łatwością szybują ponad poprzeczką, zawieszoną na wysokości trzynastu Heideggerów, akurat w środku sielanki teatralnej, kiedy armia nawiedzonych i kolosalnie ambitnych reżyserów pozostawia za sobą spaloną ziemię, zaś cudem ocalali widzowie wykrwawiają się w walkach o cudem ocalałe korzonki, dziś właśnie oni, mało ambitni, niczym Filip z konopi wyskakują, by rznąć po oczach i uszach nożykiem scenicznej konwencjonalności. Rzecz by można – wybrzyść iście chuliżański...

Jak na mój rozum, Mrożkowi i Orzechowskiemu generalnie o to się rozchodzi, aby w teatrze zniekania było jak Pan Bóg przykazał a nie jak my, Słowianie, przykajemy. Panowie zgadzają się absolutnie w kwestii tak zwanych teatralnych jaj. Mianem tym, dodam dla ścisłości, określają sedno opisanej powyżej bukolicznej krainy szczęśliwości. Tak więc panowie zgadzają się w kwestii jaj, ściślej zaś – są generalnie przeciwni jajom w teatrze. Jaja im nie bardzo pasują. „Dziękuję za list – pisze Orzechowski do Mrożka – i natychmiast śpieszę z odpowiedzią, że zaryzykuję bez „jaj” dla

O dwóch mało ambitnych

wciąż dla mnie ważnej zasady, że Fredro to Fredro, Zapolska to Zapolska, a Mrożek to Mrożek.” Ważne to może i jest, ale jakieś takie mało ambitne i mało nowoczesne. Ot, taka sobie, tycząca autorstwa, tautologijka... Dzisiaj, na ten drobny przykład jedynie, wystawia się „Męża i żonę” Fredry jako „Niebezpieczne związki” de Laclosa. Produkt od razu jest fundamentalnie zdumiewający... Czy nie ambitniej by było – czego efekt sceniczny śni mi się po nocach – wyreżyserować „Tango” Mrożka jako „Głupiego Jakuba” Rittnera? Oczywiście, że byłoby ambitniej, ale cóż począć – Orzechowski jest fatalnie nieambitny. Orzechowski jest w przerażającej zgodzie z autorem. Nie, nie stać go na ponowne napisanie „Tanga”. Wystawia „Tango” jako „Tango”, Mrożek zaś to dla niego Mrożek. Ten nieambitny upór reżysera doprowadził, bo musiał, do nieambitnego i nienowoczesnego spektaklu, z którego dwa smutne wnioski wynikają niezbitnie.

Pierwszy, że Sławomir Mrożek jest zdumiewająco mało ambitnym dramaturgiem. Oto „Tango” – podane po bożemu – brzmi dzisiaj ze sceny nieprzyzwoicie wręcz czysto i klarownie, jak dwa razy dwa cztery. Cóż za banał! Wiem, co mówię, gdyż wciąż przedzieram się przez piekielnie ambitną współczesną dramaturgię i wciąż kompletnie niczego z niej nie rozumiem, co sprawia mi zresztą nieklamana przyjemność. Brnę miesiącami bez efektu, ale za to niebawale rozwijam swoje mózgowo zwoje. Nie cel jest ważny, ważna jest droga do celu... Wiedzą o tym ambitni współcześni i dlatego piszą tak, że nie sposób tego pojąć, natomiast Mrożek – i to trzydzieści lat temu – napisał sztukę, której nie sposób nie pojąć w lot. Nie dość, że bezbłędna na każdym z możliwych poziomów, to na domiar złego taką dziwną jakąś, że bezdyskusyjnie aktualną. „Tango” nie interpretuje współczesności, to dzień nasz codzienny przykleja się do niego i interpretuje się samodzielnie. „Tango” siedzi w fotelu... Zwykle w takich razach bezczynność braku ambicji...

Drugi zaś smutny wniosek jest ten, że brak inscenizatorskich ambicji Orzechow-

skiego doprowadził, by tak to ująć, do niewiarygodnie nieambitnej szaty graficznej. Otóż, to jeszcze jest do zniesienia, że na „Tangu” w Teatrze Ludowym wszyscy wszystko rozumieją, a rozumieją, bo nie da się inaczej. Jeszcze można jakoś przełknąć gorzki fakt, iż owego „Tanga” w lwiej części słucha się z dużą dozą przyjemności. Natomiast ponad siły współczesnego teatromana jest skandal na tym polegający, że się to wszystko całkiem dobrze ogląda. Nikt nie mdleje, albowiem nie ma rzeczy nieoczekiwanych, tak zwanych ambitnych szarż na zmysł wzroku. Gdzież ten niedawny byk w „Carmen”, byk wielkości czterdziestu siedmiu czołgów... Gdzież stary magazyn z workami cementu, w którym rozgrywa się ostatnia „Historyja o chwalebny Zmartwychwstaniu Pańskim”, ten boski magazyn, o którym Mikołaj z Wilkowiecka marzył przeciwieństwo dziecka... Nie ma. Jest to, co ma być. Wszystko jest nieambitnie sobą. Począwszy od krzesła, a skończywszy na Edku. W ogóle – ludzie są tutaj ludźmi, a nie ideami. Dlatego mówią do ludzi po ludzku. O ludzkich sprawach. Choćby o tym, że jak się nie ma nic tak naprawdę treściwego do powiedzenia, to lepiej nie wykonywać szalenie ambitnych gestów rewolucyjnych. Bo się głupio wypada. Zwłaszcza na niwie teatralnej...

W ostatnich zdaniach chyba nazbyt mnie poniosło przeciwko powszechnie panującej nam ambicji w sferze scenicznej rewolucyjności. Z drugiej jednak strony rzecz ujmując, pragnę się do czegoś przyznać. Otóż – taki już mam feler od dziecka, że dziwnie ciągnie mnie do – przepraszam zainteresowanych – towarzystwa prostaczków bożych. Czy uważam „Tango” Orzechowskiego za dzieło genialne? Nie. „Tango” Orzechowskiego jest spektaklem wszechstronnie przeciętnym. Osobiście przedkładał jednak przeciętność jasną nad nieprzeciętność ciemną. I w tym tkwi sedno. Przedkładał, albowiem nieprzeciętność ciemna niezmiennie sprowadza na mnie pomrocność jasną, tego zaś nie lubię szczególnie. Dlatego chcę zapisać się do klubu. Jako trzeci mało ambitny.

PAWEŁ GŁOWACKI

Teatr Ludowy, Sławomir Mrożek „Tango”, reż. Krzysztof Orzechowski, scen. Anna Sekuła, choreog. Jacek Tomasik